

ZOBACZYMY, KTO MOCNIEJSZY?



On sobie nie życzy

Wyskoczył na mnie naprawdę mocno. Obrzucił obelgami Kościół i księży, a potem dodał, że „on sobie nie życzy”. A przecież chciałem tylko chwilę porozmawiać, bo pan Aleksander, mój pacjent z szóstki, miał dwa nowotwory złośliwe, więc właściwie nie było dla niego ratunku. Szykowałem się więc, by w odpowiednim momencie przyjść mu z pomocą, bo to była moja rola

w oddziale. Zawsze wiedziałem co mówić do najciężej chorych i nie miałem żadnych oporów, by przesiadywać przy ich łóżku godzinami. Jednak w przypadku pana Aleksandra moje metody zawiodły już na samym początku. Sponiewierany słownie przeprosiłem chorego i wycofałem się kończąc zdaniem:

– Może kiedyś zechce pan wrócić do tej rozmowy.

A następnie zrobiłem jedyną mądrą rzecz, jaką przyszła mi do głowy – poprosiłem Boga o pomoc.

Zobaczmy kto mocniejszy? – tak wtedy pomyślałem. Wiedziałem to dobrze, pacjent wkrótce miał się o tym przekonać osobiście.

Wróciłem do niego z wypisem (oczywiście zażądał wypisu z oddziału natychmiast na własne żądanie). Pacjent stał obok łóżka z opuszczoną głową, a dreptająca obok żona powtarzała ciągle:

– Panie doktorze, to naprawdę jest dobry człowiek.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej – odparłem i podałem mu dokumenty, potem uściśnąłem dłoń. – Niech pana Bóg błogosławi.

Gdy wychodziłem z jego sali, rozpierała mnie radość. Zaczyna się. Wstyd zbawczy. Dokładnie to zobaczyłem na obliczu ciężko chorego Aleksandra. Zaczyna się to, co mnie tak fascynuje w pomaganiu ludziom – gdy sprawy w swoje ręce bierze sam Bóg.

Walka rozpoczęta

Pan Aleksander wracał do nas regularnie co kilkanaście dni z ciężką anemią. Często trafiał na moją salę, sta-

rałem się być dla niego dobry i czekałem spokojnie na rozwój wypadków. Przetaczałem mu krew, uśmierzałem ból, towarzyszyłem jemu i żonie w trudnych chwilach. Cały czas jednak wiedziałem, że Bóg już rozpoczął walkę o tego człowieka i tylko kwestią czasu pozostaje przemiana, która po prostu musi się wydarzyć. Wtedy pojawił się ten ksiądz. Przyjechał do naszej parafii, by zapowiedzieć misje, które miały się rozpocząć za kilka miesięcy. Mówił o sobie, że pracuje z umierającymi i właściwie w swojej homilii poświęconej temu tematowi potwierdził wszystko, co już wiedziałem i co robiłem codziennie wobec umierających pacjentów. Po mszy świętej rozprowadzał płyty wideo z radami, jak rodzina powinna zachowywać się wobec ciężko chorego, umierającego człowieka. Oczywiście kupiłem jedną i przy nadarzającej się okazji wręczyłem żonie pana Aleksandra. Od tej pory walka przybrała nowy wymiar. Aleksander łagodniał i nie było to spowodowane utratą sił. Mężczyzna coraz chętniej przyjmował moje uwagi, zdawkowe napomknięcia, przekierowania na tematy zbliżone do wiary, choć robiłem to ostrożnie, bo nie chciałem go zniechęcić. I przyszedł wreszcie ten wieczór...

Chcę się wypowiedzieć

Nie muszę nikomu tłumaczyć, że pan Aleksander nie był u spowiedzi od kilkunastu lat. Nakłanianie go do tego nie miało sensu, bo potrzeba otwarcia duszy przed Bogiem musi płynąć z głębi serca każdego człowieka. Jak wspominałem, pan Aleksander słabł. Nie chodzi mi

o chorobę, bo ta oczywiście wyniszczała jego ciało z każdym tygodniem, ale widać było, jak słabnie jego opór przed miłością Boga. Coraz częściej się zamyślał, a gdy mówiłem o Jezusie, nie odpowiadał już agresją. I przyszedł ten wieczór, gdy usłyszałem od niego upragnione słowa:

– Chcę się wyspowiadać, zrobię to.

Nie wiedziałem, gdzie mam biec, czy skakać z radości? Natychmiast zadzwoniłem do księdza kapelana, a tu nagle przeszkoda – ksiądz na wyjeździe, najwcześniej przyjdzie do chorego rano.

Trzeba zaufać. Bóg podjął walkę o tego człowieka, to Bóg ją dokończy. Od chwili pierwszej rozmowy z panem Aleksandrem minęło około pół roku. Długi czas przeżycia, jak na dwie śmiertelne choroby bez możliwości leczenia przyczynowego.

– Tyle miesięcy trzymałeś go Panie przy życiu – pomyślałem – to przetrzymasz jeszcze jedną noc.

I tak się stało. Rano przybył ksiądz kapelan, a pan Aleksander wyspowiadał się. Jeszcze dwa tygodnie rozmawialiśmy o Chrystusie, słuchał uważnie, włączając się czasem z jakąś uwagą. Potem umarł w spokoju, w nocy, bez bólu i duszności. Umarł tak spokojnie, choć wielu chorych z takimi rozpoznaniem umierało wśród bólu i duszności. Bóg dokończył swoje dzieło, tak jak obiecał.